

EDYTA ŚWIĘTEK

SANDOMIERSKIE WZGÓRZA

SERCA ŻYJĄCE NADZIEJĄ

© Wydawnictwo WAM, 2025

© Edyta Świętek, 2025

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Monika Orłowska

Korekta: Maria Armatowa, Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-3724-3

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: OPOLGRAF • Opole

SPIS ROZDZIAŁÓW

W poprzedniej części	5
I Dolina zła	7
2 Ciemna toń	21
3 Echo wystrzałów	31
4 Rocznica	51
5 Gorączka	67
6 Przeprowadzki	77
7 Tęsknoty i powroty	97
8 Uśmiech fortuny.	115
9 Wielkomijskie szaleństwa	137
10 Anioł śmierci	155
11 Scheda.	175
12 Dochodzenie	189
13 Przekleństwo	205
14 Niechciana lokatorka	219
15 Nowi lokatorzy	237
16 Weselne dzwony.	247
17 Interesy	255
18 Skarb pustelnika	271
19 Dom Chleba	285
20 Zazdrość	301
21 Dzień za dniem	315
22 Smuteczki	325
23 Więzy krwi	345
24 Rodzina	353
25 Daleka droga	367
Bibliografia	389

W poprzedniej części

Alina bezskutecznie poszukuje zaginionego męża. W tym samym czasie Marcjanna rodzi Antoniego. Nie obywa się bez komplikacji.

Michał zostaje pobity przez bandę Ryżego.

Eustachy odzyskuje przytomność w domu hrabiego Maksymiliana Orszanda. Został uśpiony eterem i uprowadzony przez pracowników swego ojca. Hrabia podstępnie sprowadził do siebie nieślubnego syna, ponieważ pragnie uczynić go swoim spadkobiercą. Eustachy odrzuca jego propozycję i wraca do domu, gdzie opowiada o swych perypetiach żonie.

Orszand rozmawia z Józkiem Nawrotem o Alinie. Młody twierdzi, że już jej nie kocha. Eustachy postanawia więc, że wyswata Alinę Michałowi.

Alina leczy ziołami siostrę oraz Michała. Podbudowana sukcesem, postanawia zająć się ziołolecznictwem.

Łopian poznaje podczas tańców w gospodzie Stefanię Wojaszek. Traci głowę dla uroczej panny, lecz jej brat staje na przeszkodzie planom młodych. Nie chce, by siostra zadawała się z przestępcą. Zakochani spotykają się potajemnie.

Marcysia chce pokazać syna Bożydarowi i skruszyć jego serce, lecz dowiaduje się, że mężczyzna będzie się żenił z zamężną Bronką Kunicką.

Stefania podejmuje pracę w piekarni Złoty Kłos, gdzie musi się opędać przed umizgami Bożydara. Bronka jest o niego zazdrosna, chce się pozbyć Stefanii.

Ryży i jego kamraci planują obrabowanie Eustachego. Chcą go zaskoczyć w jego domu, lecz podczas przedzierania się przez Góry Pieprzowe traci życie Franciszek. Bandyci nie rezygnują z knowań.

Barbara zaczyna się interesować losami swych córek.

Eustachy wyjawia Alinie, że zamierza się z nią rozwieść. Michał nie jest zainteresowany Aliną. Marcysia doradza siostrze, by nie dopuściła do rozpadu małżeństwa. Alina usiłuje rozkochać w sobie męża, on jednak pozostaje nieczuły.

Bożydar gwałci Stefanię. Jankowski odkrywa prawdę i bestialsko mści się na mężczyźnie.

Michał rzuca się na ratunek tonącemu dziecku.

Do domu Eustachego zakradają się Ryży z Łopianem.



1

Dolina zła

Rok 1925

Bronisława otarła oczy. Po niemalże nieprzespanej nocy wyglądała jak obraz nędzy i rozpaczy, ale pierwszy raz zdarzyło się, by mąż nie wrócił do domu z koleżeńskiej popijawy w karczmie. Czasami pojawiał się nad ranem, częściej jednak o dość przyzwoitej porze, ponieważ wymuszała to na nim praca w piekarni.

Prowadzenie takiego biznesu wymagało chodzenia spać z kurami i zrywania się na długo przed świtaniem, nawet jeśli było się właścicielem lub synem pryncypała. Ildefons wciąż powtarzał, że pańskie oko konia tuczy i chociaż żaden z Jaskierków nie zagniata osobiście ciasta na chleb, to powinien pilnować, by zatrudnieni przez nich pracownicy nie wałkonili się przy robocie, nie podkradali mąki, soli czy innych dodatków, nie przypalili wypieków, a wreszcie żeby ze wszystkim zdążyli na czas.

Do pokoi zajmowanych przez nowożeńców już trzykrotnie stukał najpierw któryś z pracowników, a potem sam ojciec.

– A ty czego buczysz? – zapytał dość nieuprzejmie synową, gdyż wręcz kipiał ze złości na niefrasobliwość synalka,

który wybrał się na birbantkę zamiast w sobotni, to w niedzielny wieczór i do tej pory nie raczył wrócić do domu.

– Bożydara wciąż nie ma.

– O tym to i ja już wiem – burknął teść. – A ty, zamiast się tu ślimaczyć, idź do gospody i wypytaj o ślubnego. Z kim pił, do której siedział i czy wiadomo, dokąd potem poszli. A może bumelant jeden aż do teraz chrapie na ławce u Żyda?

– Ale jak to? Ja mam iść? – obruszyła się Bronka. Bo jakże tak, by stateczna mężatka pochodząca z dobrej rodziny szwendała się po gospodach jak pierwsza lepsza i szukała zapijaczanego małżonka? Tego to nigdy u Kunickich nie było i nie będzie!

– Niby kto inny miałby pójść? Ja? – zdenerwował się Ildefons. – Sklep trza łała moment otwierać, ktoś musi stanąć za ladą.

– Niech idzie któryś z piekarczyków – odparła.

– Na głowę upadłaś? W czasie, gdy huk roboty, mam ich odrywać od pracy, bo jaśnie pan zabalował, a jaśnie pani nie ruszy tyłka? A może Gertruda ma się wycierać po gospodach? Twój chłop, to i problem twój! Skoroś go nie upilnowała, to teraz lataj po mieście! Na moim chlebie żyjesz, więc jazda z domu i bez Bożydara mi nie wracaj! – wrzasnęła, a potem strzeliła drzwiami i tyle go widzieli.

Przez chwilę Bronka stała niczym biblijna żona Lota przemieniona w słup soli. Potem jednak do niej dotarło, że faktycznie musi pójść na poszukiwania małżonka, który, zdaje się, umyślił sobie tęgą popijawę. Pojęła także, że w domu Jaskierków jest tak naprawdę nikim i nikt się z nią nie liczy. Potrzebna im była tylko po to, by mogli przejąć

jej posag. Sęk w tym, że nadal nie otrzymali całości, więc coraz częściej w rozmowach mężczyzn, do których pod żadnym pozorem nie wolno jej się było mieszać, padały stwierdzenia, że nikomu do niczego nie jest potrzebna spółka z Kunickimi i lepiej ów upragniony dom handlowy otworzyć samodzielnie. Bo zyskami ze spółki musieliby się dzielić, a gdyby sami się wysilili, to później sami odcinaliby kupony od inwestycji.

Kobieta westchnęła ciężko i rzuciła spojrzenie w lustro. Wciąż miała na sobie peniuar i nocną bieliznę. Jeśli chciała dokądkolwiek pójść, to najpierw musiała się ubrać i uczesać. Ildefons nie myślał chyba, że synowa narzuci płaszcz na koszulę i wyjdzie z domu z papilotami na głowie?

A nuż tymczasem zguba sama się znajdzie?

Gniew Bronki potęgował się z każdą chwilą. Najpierw kobietę zirytował mąż, który za wiele sobie pozwolił, a teraz czarę goryczy przelał teść. Wściekła niczym osa usiadła przed toaletką i bez pośpiechu zaczęła wypłatywać z włosów białe zwitki. Nie mniej opieszale włożyła odzież. Nim wyszła z domu, zajrzała do pokoju stołowego. Gospoia podawała na stół śniadanie. Bronka była już w płaszczu i kapeluszu, więc sięgnęła tylko po rogalik, by oszukać głód, i pociągnęła łyk kawy. Na szczęście Gertrudy przy tym nie było, bo z całą pewnością nie omieszkają ofuknąć synowej i za palto, i za spożywanie jedzenia na stojąco, i za oblizywanie palców z lukru. Młoda kobieta najchętniej zjadłaby solidny posiłek, lecz nie chciała przeciągać struny. Teść pewnie nie byłby zachwycony, wiedząc, że dotąd nie wyszła z domu, wszak nakazał jej pośpiech.

Mimo wszystko zajrzała do piekarni w nadziei, że mąż wrócił i po prostu wziął się od razu do pracy. Piekarczykowie powiedzieli jej jednak, że nie przyszedł, a pan, zły jak diabli, obsługuje klientów w sklepie. Jaskierkowa już miała się wymknąć tylnym wyjściem, gdy na zaplecze wszedł teść.

– Znalazłaś go? – zapytał Bronkę.

– Jeszcze nie – odparła.

– To po co wróciłaś? Powiedziałem, że masz mi się nie pokazywać bez tego huncwota.

– Już idę – odparła ugodowo.

– Już? – powtórzył za nią. – Chcesz powiedzieć, że dopiero teraz wychodzisz z domu?

Nie odpowiedziała, lecz czmychnęła w popłochu. Nigdy wcześniej nie widziała, aby Ildefons kipiał wściekłością do tego stopnia.

Z ogromnym zażenowaniem powędrowała do gospody, lecz o tej porze mogła jedynie pocałować klamkę, było zbyt wcześnie na otwieranie podwojów dla spragnionej klienteli. Bronka czuła narastającą desperację, więc póty tłukła pięścią w drzwi, póki jej nie otworzono. Od żony właściciela niewiele się dowiedziała, a gdy przyszedł ziewający po nieprzespanej nocy karczmarz, usłyszała, iż mąż bawił się w towarzystwie kilku ziomków, a potem przepadł. Nawet jego kamraci byli tym faktem nieco zadziwieni, ale nikt nie rozdzierał szat. Towarzysze Bożydara uznali chyba, że wrócił do domu, znany był bowiem z tego, że najkrócej przesiadywał na gorzałce. Zwykle jednak rzucał jakieś słowo na pożegnanie i płacił za siebie. Tym razem zostawił ich z długiem. Dość niechętnie uregulowali za niego rachunek,

stąd właśnie gospodarz przybytku dowiedział się o tym, iż Jaskierka odszedł bez słowa wyjaśnienia. Potem poszli spać. I nie, Prot nie ma pojęcia, gdzie mieszkają, zna ich zaledwie z widzenia. Jeden to, zdaje się, brat tej panny, co ją jakiś zbir sponiewierał w dzikiej dolinie poniżej Ucha Igielnego.

– Trzeba lepiej chłopą pilnować, pani Jaskierkowa – skwitowała Protowa, łapiąc się pod boki. – Bo do tej pory był raczej porządny i wczas kończył wypitki. Ale jak raz zacznie sprawiać kłopoty, natychmiast winien dostać nauczkę, bo inaczej czeka panią wieczne strapienie.

Upokorzona Bronka podziękowała za informację. Dla spokoju sumienia poszła do jeszcze jednej gospody, lecz tam w ogóle nie widziano Bożydara. Pomyślała więc, że zapyta u Wojaszków o Jurka, bo może on coś będzie wiedział. Zgodnie z przewidywaniami w domu zastała wyłącznie Wojaszkową oraz część dziatwy. Jerzy rano wyszedł do biura. Matka spodziewała się go późnym popołudniem. Na temat Bożydara nie wiedziała absolutnie nic, bo syn wrócił późno i od razu legł spać. Zresztą który młody mężczyzna opowiada rodzicom, jak spędza wieczory?

Tknięta impulsem Bronka zajrzała także do swego rodzinnego domu, ten bowiem stał zdecydowanie bliżej gospody niż kamienica Jaskierków, i przyszło jej na myśl, że być może ślubny gorzej się poczuł i tam postanowił szukać schronienia. Pomysł ten z miejsca uznała za niedorzeczny, bo w takim wypadku ktoś dałby znać jej lub świekrom, co zaszło. Nie miała jednak ochoty wracać do piekarni i stawać przed rozsierdzonym Jaskierką. A ponieważ wnętrze

skręcał jej głód, z przyjemnością zjadła śniadanie w towarzystwie matki, wspominając przy tym, że mąż nie wrócił na noc do domu.

– A to padalec! – obruszyła się Kunicka, która należała do pań potrafiących trzymać ślubnego w ryzach. Tajemnicą poliszynela było, iż Andrzej Kunicki jest zwykłym pantoflarzem i konsultuje absolutnie każdą decyzję ze swoją Wandeczką. – Męża trzeba rozliczać ze wszystkiego, zwłaszcza z samotnych eskapad – pouczyła córkę. – Nie wolno pobłażać mężczyznom! Jaskierkowie powinni zmyć głowę synalkowi! Razem z tobą ma wziąć duży posag, więc już z tego względu należy ci się szacunek! – utyskiwała.

Bronisława zwiesiła bezsilnie ramiona. Choć nie było to celem matki, słowa, które wypowiedziała, zraniły młodą mężatkę, która uważała, że szacunek należy jej się bez względu na posag czy obrączkę na palcu. Poczuli się jak część transakcji handlowej – mało znaczący dodatek do pieniędzy, wraz z którymi została oddana Jaskierkom.

– Czas na mnie – powiedziała, wstając. – Bożydar pewnie już wrócił do domu i śmieje się ze mnie, że jak głupia biegam po mieście i go szukam.

– Musisz to ukrócić, nim będzie za późno. Zdusić w zarodku – pouczyła ją Wanda. – Pamiętaj! Bądź surowa i żądam od niego wyjaśnień. Nie daj się zbyć! Ja nigdy nie pobłażałam Andrzejowi, dzięki temu nie muszę za niego świecić oczami.

– Gdzie byłaś tak długo? – wykrzyknęła na jej widok Gertruda. – I czemu wracasz sama? Gdzie się podziewa mój syn? Nie mów mi tylko, że go nie znalazłaś!

– Niestety – odparła strapiona Bronka. Była święcie przekonana, że po powrocie do domu zastanie ślubnego. Szykowała się nawet na to, że zmyje mu głowę, bo nie zamierzała pokornie godzić się na podobne wysoki.

– Mój Boże! – Świekra podniosła lament. – Dokąd go poniosło? Tyle czasu... To niepodobna! Muszę powiedzieć Ildefonsowi.

Jaskierka, wściekły, że odrywa się go od pracy, nie próbował kryć oburzenia.

– Już ja mu nagadam, gdy wróci! Nie dość, że Wojaszków-na rzuciła robotę z dnia na dzień i nie ma kto sprzedawać pieczywa, to jeszcze on funduje sobie wychodne bez słowa uprzedzenia! Chyba w najgorszym możliwym momencie, bo influenza położyła do łóżka piekarza i jednego z pomocników. Jak tak dalej pójdzie, jutro nie otworzę interesu, bo nie będzie komu pracować!

Mówiąc to, potarł się po mostku, na co od razu ślubna zwróciła uwagę.

– Ty się, Ildefonsie, aż tak nie denerwuj, bo ostatnie, czego teraz potrzebujemy, to abyś doznał palpacji lub apopleksji. Bożydar będzie musiał się mocno wytłumaczyć z niesubordynacji. Jestem pewna, że jak wróci, wyjaśni nam racjonalnie, gdzie się podziewał. A tak właściwie – zwróciła się w stronę synowej – to wszystko twoja wina! Nie potrafiłaś zatrzymać męża w domu? Ale ja się nie dziwię, że mój biedny syn gdzieś zabalował. Jak się ma za ślubną wiecznie

jazgoczącą i nieznośną heterę, to człowiekowi może zabraknąć cierpliwości. Matka cię nie nauczyła, że żona powinna być łagodna oraz przepelniona słodyczą i nie ma prawa irytować męża, który ciężko pracuje na utrzymanie rodziny? Co z ciebie za kobieta? O moje nieszczęsne dziecko! Musiało szukać odrobiny spokoju poza domem! – lamentowała.

W tym czasie Ildefons ważył w duchu jakąś decyzję. W końcu on także spojrzął na synową.

– Bronka, do sklepu! – zarządził. – To żadna filozofia sprzedawać wypieki. Jeden cennik wisi za kasą, by mogli go odczytać klienci, drugi leży obok. Przy każdym towarze są też kartoniki z cenami. Skoroś pokończyła szkoły, rachować umiesz. Tylko się nie omył, żebyś nie narobiła strat. Przejdę się po kolegach Bożydara, może oni coś wiedzą. Bo ty pewnie się nie pofatygowałaś – odgadł.

– Pytałam u Wojaszków.

– U Wojaszków, u Wojaszków! – burknął. – Do Wojaszka Bożydar raczej by nie poszedł.

Jerzy był tak zły, że nie mógł się skupić na pracy. Siedział bezmyślnie przy swoim biurku i przerzucał dokumenty ze stosiku na stosik. Tego dnia buchalteria przegrała w starciu z podłym humorem i brakiem koncentracji.

– A tobie co? – zagadnął Ryszard Sabański, starszy księgowy, bezpośredni przełożony Wojaszka, człowiek jowialny i lubiany przez wszystkich, całkowite zaprzeczenie stereotypowego szefa, który dyscyplinuje, wymaga i nie dopuszcza do nawet najdrobniejszej niesubordynacji. Z jednej strony

często pozwalał sobie na niewybredne żarciki, jakich czasami nie przystawało opowiadać, z drugiej strony wzbudzał sympatię i zaufanie, ponieważ zawsze dochowywał sekretów i dotrzymywał danego słowa. Potrafił oddzielać sprawy poważne od bzdur.

Młody mężczyzna westchnął ciężko i zerknął na siedzącego przy sąsiednim biurku kolegę. Sabański w lot odgadł, w czym rzecz.

– Pustułka – zwrócił się do skupionego na pracy podwładnego. – Masz teraz półgodzinną przerwę obiadową. Później skończysz księgowanie rozchodów – zarządził, odsyłając delikwenta z biura.

Nietuzinkowy był z niego pryncypał, bo zazwyczaj wcieślał się w rolę dobrotliwego ojca. Mimo jego skłonności do słownego świntuszenia współpracownicy bardzo go cenili i chętnie opowiadali mu o swoich sprawach. A on, gdy tylko mógł, służył dobrą radą, pomocą czy choćby słowem pociechy.

– Opowiadaj, bo widzę, że przygniata cię straszny ciężar – zachęcił Jerzego, gdy już zostali sami. – Ulżyj sobie, inaczej nie będę miał z ciebie żadnego pożytku.

– Ech... Panie Sabański... Kiedy poruta...

– Poruta, poruta... Tym bardziej powiedz. Wiesz, że mnie możesz mówić szczerzej niż rodzonemu ojcu, bo ja nie przełożę cię przez kolano i nie podzielę dyscypliny. A nuż jakoś pomogę? – zachęcił.

– Obawiam się, że nie tym razem. Nie wygląda mi pan na kogoś, kto puściłby pięści w ruch. A mnie aż świerzbi, aby zatkać usta kilku cwaniakom.

– Czyżby ktoś nadepnął ci na odcisk?

– Owszem, nawet mocno, choć może nie do końca mnie.

Ale pomyje wylewane na moją siostrę brukają właściwie całą rodzinę.

– Co masz na myśli? – zapytał buchalter, chociaż po części domyślał się prawdy, bo i do niego dotarło już to i owo.

– Ano to, że wstrętne pleciugi ostrzą sobie języki na biednej Stefci – wyznał młody z ogromnym zażenowaniem. – Chętnie wtłoczyłbym im w gardła nikczemne słowa.

– No jakże to tak, pastwić się nad biedną dziewczyną? Przecież spotkała ją potworna krzywda – zauważył Sabański.

– Otóż to. A wczoraj słyszałem, że ponoć młody Jaskierka gadał, iż Stefcia wcale do świętych nie należy. Chciałem go nawet wywołać na solo i sprać po mordzie, ale umknął mi, nim wprowadziłem zamiar w życie. Zupełnie jakby przewidział, że za podłe słowa może go spotkać kara. I za nic mam to, że był pryncypałem Stefanii, ona już i tak nie wróci do pracy w sklepie. W ogóle nie garnie się do życia i jeśli nie wydarzy się jakiś cud, marnie skończy. Całymi dniami leży w łóżku i zalewa się łzami. Matula się o nią zamartwia, że albo umrze z żalu, albo wręcz skróci sobie życie. Wezwwała do niej nawet tę szamankę, która zamieszkała w chacie po pustelniku i przejęła po nim zielarstwo. Niegłupia z niej kobieta, znaczy z Eustaszyny – wyjaśnił – bo potrafiła zbliżyć się do Stefy, choć wcześniej nikomu z nas się to nie udało.

– No ale za co chciałeś pracować po gębie Jaskierkę? – drążył Sabański.

– Bo ten kołtun rozsiewa obelżywe plotki o mojej siostrze. Twierdzi, że póki jeszcze sprzedawała pieczywo, nieraz widział, jak strzelała wzrokiem za chłopakami, wdzięczyła się do nich, kokietowała ich. I że do niego też robiła słodkie minki, i bardzo mu się przymilała nawet wówczas, gdy już był żonaty. Ponoć Bronka zażądała, by ją zwolnił z roboty, bo nie mogła tego zdzierżyć. I pewnikiem by to zrobił, gdyby Stefa sama nie porzuciła posady po tym, jak ją ktoś sponiewierał.

– Powiedział ci to w oczy? – zdziwił się pryncypał.

– Nie. Aż tyle śmiałości nie miał. Koledzy mi powtórzyli, gdy niby poszedł na stronę. Próżno czekałem, aż wróci, nie pojawił się więcej, psubrat! Mało tego, doszły mnie jeszcze podlejsze informacje. – Westchnął ciężko. Urwał, nie był w stanie wykrztusić ni słowa. Udał zainteresowanie fakturą, którą przyniósł rano kontrahent.

– Dokończ, jak już zacząłeś – napierał starszy z mężczyzn.

– Ludzie podobno gadają, że Stefania sama sobie winna i pewnikiem prosiła się o kłopoty.

– Bzdury!

– Ja też tak uważam. To porządna dziewczyna, ręczę za jej uczciwość. Ale niektórzy twierdzą, że nie da się racjonalnie uzasadnić jej obecności w dzikiej dolinie. Gadają... Gadają... Że sama musiała tam pójść na schadzkę z jakimś gachem. Bo nikt nie zdołałby jej tam zawlec siłą, nie stawiając przy tym na nogi mieszkańców pobliskich kamienic. Gdyby ją ktoś ciągnął od strony rynku, pewnie narobili by hałasu. Broniąc się, mogłaby nawet spaść ze schodów i skręcić sobie kark, a przynajmniej mocno się poturbować. A jeśli szła od strony

Krakówki lub innego przysiółka, to tylko źle o niej świadczy, bo porządna panna nie powinna błąkać się ponurymi zaułkami po zapadnięciu zmroku – dokończył, zwieszając ramiona.

– Bzdury! – powtórzył Sabański. – Na przyszłość, gdy ktoś coś podobnego będzie plótł, to odpowiedz, że być może napastnik przystawił jej jakąś broń do boku. Nóż albo pistolet. I w ten sposób mógł wymusić na niej, by grzecznie poszła w ciemną dolinę. To jest racjonalne wyjaśnienie tej sprawy! Była tak sparaliżowana strachem, że stąpała ostrożnie, aby napastnik jej nie ugodził, nie zranił albo wręcz nie zamordował. Uszy do góry, Jerzyku. I nigdy, przenigdy nie trać wiary w siostrę. Stefania to miła i porządna panna. Nie podejrzewałbym jej o żadne bezeceństwa. Spotkała ją niewyobrażalna krzywda, więc się nie dziwię, żeś wściekły i masz ochotę rozprawić się z oszczercami.

– Oszczercą – poprawił Jerzy. – Na razie słyszałem tylko o tym, że to Jaskierka ją tak wstrętnie szkaluje. Ale przyjdzie kryśka na Matyska! Już ja z nim wyrównam rachunki! Za honor Stefki dostanie ode mnie lanie. Nie pozwolę, by ktoś kalał jej dobre imię, bo takie oszczerstwa niczym nie ustępują gwałtowi! – wybuchł na ostatek.

Sabański, który do tej pory siedział przy swoim biurku, wstał, podszedł do podwładnego. Wyciągnął dłoń i poklepał go po ramieniu.

– Odwodzić cię od tego nie myślę. Honor to honor. Z tym nie ma dyskusji. Miarkuj się jeno, abyś nie popadł z powodu tego bydlaka w jakieś kłopoty. Jaskierce źle z oczu patrzy, jeśli mu przyłożysz albo upokorzysz go przed znajomkami,

gotów cię wsadzić do ciupy. No dobrze, czas wracać do pracy. Zaraz Pustułce skończy się przerwa. Jeśli ci to potrzebne, możesz wyjść na chwilę i przewietrzyć głowę.

– Dziękuję, nie trzeba. Miał pan rację: jak się człowiek wygada, to jakoś lżej na duszy, choć to oczywiście nie rozwiązuje problemu.



2

Ciemna toń

Tego dnia Małgorzacie wybitnie nic nie szło. Podczas ranego dojenia kozy wierzgały, wywracając skopek z mlekiem. Później, gdy wychodziła z kurnika, potknęła się tak niefortunnie, że cały koszyk jaj poszedł na zmarnowanie. W kuchni na piecu kipiało, przypalało się, a dym, zamiast iść w komin, wracał do izby. Nie mogła liczyć na pomoc Marcysi, gdyż ta zajęta była wyjątkowo marudnym niemowlęciem. Antosiowi wyrzynały się pierwsze ząbki, przez co stawał się niespokojny i w żaden sposób nie udawało się go zabawić. Odłożony choćby na krótką chwilę, podnosił wrzask, więc Zdunkowa sama zaproponowała młodej matce, by zajęła się synkiem i nawet nie myślała o pomaganiu w obejściu.

– O Matuchno Przenajświętsza! Co za dzień! – jęknęła, gdy rozbiła talerz. – Marchwiane mam ręce. Wszystko mi z nich dziś leci. A zdenerwowana jestem od samiuśkiego rana, jakby co złego miało się wydarzyć – dodała.

Marcysia chodziła po izbie, kołyszając przysypiającego, lecz wciąż marudnego Antosia. Podeszła do Małgorzaty i wcisnęła w jej ramiona niemowlę.

– Lepiej będzie, jak ja się zajmę gotowaniem i obrządkami, a pani niech wytchnie. Mały jest nakarmiony i przewinieły, powinien zaraz usnąć, więc będzie pani miała spokój. Nie ma się czym frasować. Na jutro kury naniosą jaj, a kozy dadzą mleka. Głodne przecież nie chodzimy, jedzenia mamy pod dostatkiem. Pewnie, że zawsze jest to strata, bo mniej zostanie na sprzedaż. A talerz odkupimy na targu. Myślę, że potrzebuje pani odpoczynku. Wciąż coś się dzieje, nie ma ani chwili spokoju. Ma pani dość za swoje ze mną i z Antkiem. I o Michała się pani ciągle frasuje – wyliczyła. – Trzeba o sobie pomyśleć, pani Małgosiu – skwitowała łagodnie.

– Moja dziewczynka – rozczuliła się gospodyni. – Jak to miło, gdy ktoś się o człowieka zatroszczy. A mnie coś w dołku gniecie, ale może przez to, że listopad zawsze jakoś tak nieprzyjemnie się dłuży? Niedobry to miesiąc, ponury, zły jakiś taki. Wolę grudzień, bo to oznacza Gody. Człowiek potrzebuje święta i wesela. Tak! Niech już przeminie ten okropny miesiąc, który chyba Bóg dał ludziom na pokutę oraz refleksję nad życiem i jego przemijalnością.

Uczucie zdenerwowania nie opuściło jej przez następnych parę godzin.

Od spotkania z ukochanym minęło kilka dni. Stefania czuła, jakby wstępowało w nią nowe życie. Paweł dał jej nadzieję na odmianę losu. Ufała, że tę obietnicę spełni, że już niedługo wyjadą razem z Sandomierza i zamieszkają gdzieś, gdzie nieprzyjemne wspomnienia ulegną zatarciu.

Czasami wydarzenia z dzikiej doliny jawiły jej się jak odrealniony koszmarny sen. Coś niebyłego. Majak, z którego obudziła się znękana, zmęczona, lecz niepoturbowana.

Fizycznie nie dolegało jej już nic. We właściwym czasie przyszło krwawienie miesięczne, przynosząc ulgę, gdyż oznaczało, że w jej brzuchu nie wykiełkowało czarcie nasienie. Psychicznie także dochodziła do przyzwoitej formy, choć jeszcze nie miała dość odwagi, by opuszczać dom. Pracę i tak straciła, przypuszczała, że Jaskierkowie zdążyli już znaleźć kogoś na jej miejsce. Do koleżanek jej nie ciągnęło, nie chciała ani ich współczujących spojrzeń, ani udawania, że nic się nie stało, ani tym bardziej niedyskretnych pytań – tego wszystkiego mogła się po nich spodziewać. Jedyną osobą spoza rodziny, z którą miała ochotę się spotykać, była Alina Eustaszyna. Przynoszone przez nią zioła dawały ukojenie i miały niemalże zbawienną moc. Stefa jednak nie nazwałaby jej swoją przyjaciółką. Alina, choć nieco młodsza, sprawiała wrażenie znacznie dojrzalszej, wszak była stateczną mężatką i pracowała na swe utrzymanie, przyrządzając ziołowe leki i różne specyfiki.

Po wizycie Jankowskiego Stefcia przestała warczeć na brata, gdy zaglądał do pokoju, który dzieliła z siostrami. Wcześniej wyrzucała go za drzwi z krzykiem albo ignorowała, odwracając się tyłem. Teraz każdego dnia rozmawiali o różnych błahostkach, trochę o jego pracy, trochę o pogodzie. Dopytywała, czy widział się z Pawłem albo czy nie ma od niego jakiejś informacji. Raz przyniósł jej kartkę z kilkoma słowami skreślonymi przez ukochanego. Odpisała na ten liścik i poprosiła brata, by przekazał go adresatowi.

Zgodził się niechętnie. Wiedziała, że pozostaje podejrzliwy w stosunku do Jankowskiego, i nawet nie próbowała go przekabacać. Cieszyła się jedynie z tego, że przynajmniej nie nakazał jej ucięcia tej znajomości, choć raz nie obyło się bez dość przykrej pogawędki.

– Stefciu... powiedz mi, gdy cię napadnięto... szłaś na spotkanie z Pawłem? – zagadnął mocno zmieszany.

Nie potrafiła kłamać, patrząc mu w oczy. Siedziała więc w milczeniu, lecz on nie ustępował.

– Tak – wyszeptała w końcu ledwo dosłyszalnie.

Mężczyzna jęknął.

– Och! A jednak! Czułem, że przez tego człowieka wpadniesz w tarapaty.

– To nie jego wina. Nie on mnie sponiewierał! – zaprotestowała żywo. – Ktoś się pod niego próbował podszyć! Uwierz mi, jest niewinny!

– Ja też staram się wierzyć, że nie Jankowski zrobił ci krzywdę. Chodzi mi jednak o to, że do niczego pewnie by nie doszło, gdyby ci nie namieszał w głowie.

– Nie mów tak! Paweł nigdy nie naraził mnie na żadne nieprzyjemności ani ryzyko. Ufam mu całkowicie! Nie próbuj stawać pomiędzy nami. Właśnie teraz, gdy dotknęło mnie nieszczęście, jest mi najbardziej potrzebny. Sprawia, że znowu chce mi się żyć – wyznała szczerze i już bez krzyków.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami.

Jerzy ważył w duchu, czy powinien zadać pytanie, które dręczyło go od jakiegoś czasu. Bał się, jak Stefania zareaguje, gdy na nowo rozdrapie gojące się rany jej duszy. Ostatecznie

uznał, że musi to zrobić. Był mężczyzną, zamierzał bronić czci ukochanej siostrzyczki, nawet jeśli tego od niego nie oczekiwała.

– Czy podejrzewasz w ogóle kogoś? Kogokolwiek... Przypominasz sobie coś charakterystycznego, co pozwoliłoby zidentyfikować tego bydlaka?

W napięciu oczekiwał na reakcję siostry.

Jej oczy pociemniały bólem. Dziewczyna powoli skinęła głową. Po spotkaniu z Pawłem dużo myślała o tym, co zaszło. Starła się to robić analitycznie, odsuwając na bok emocje, choć było to niezwykle trudne. I tak. Wytypowała kogoś, kto mógł ją skrzywdzić, choć się wydawał człowiekiem raczej nieszkodliwym.

– Powiesz mi, o kim myślisz?

– Całkowitej pewności nie mam. Ale przypominam sobie trochę szczegółów. Był tęgi i strasznie sapał. Pachniał nie tylko wodą kolońską, ale czymś jeszcze. Czymś, co wydawało mi się znajome. Teraz już wiem: pachniał piekarnią.

Jerzy bał się zapytać o nazwisko agresora. W głębi duszy żywił nadzieję, iż siostra wspomni któregoś z pomocników lub piekarzy.

– To mógł być młody Jaskierka – wyznała cicho.

Zduślił przekleństwo, bo nagle wszystko połączyło mu się w całość.

Wiedział już wcześniej, że Bożydar ślinił się do jego siostry. Wspomnił mu o tym kiedyś Waldemar Żuchowicz, kolega ze szkolnych czasów, który pomógł w załatwieniu posady dla Stefci. Któregoś dnia, gdy siedzieli w gospodzie, jakimś dziwnym trafem wyłącznie we dwóch, nachylił się

i wyszeptał, by prócz Jerzyka nie mógł go usłyszeć nikt więcej: „Uważaj na siostrę. Młody pryncypał zanadto ją bałamuci. Szkoda, by żonaty mężczyzna popsuł reputację takiej miłej pannie”.

Jeśli Stefania odrzuciła zaloty Jaskierki, ten mógł poczuć się urażony. Ponoć twierdził, że do tej pory nie oparła mu się żadna kobieta.

Bożydar, zapewne dla odwrócenia od siebie uwagi, szkalował teraz tę nieszczęśnicę, twierdząc, że się do niego wdzięczyła.

– Psiakrew! – nie wytrzymał Jerzy.

Zerwał się na równe nogi i wypadł z izby.

– Jerzyk! Jerzyk! No co ty? – zawołała przestraszona dziewczyna. Bała się, że brat porwie się na jakieś szaleństwo. – Jerzyku, to tylko podejrzenie – wyszeptała.

Michał czuł przenikliwie zimno. Doznanie było takie, jakby w jego ciało wbiły się jednocześnie niezliczone igły. Był niczym sparaliżowany, a ciężkie ubranie ciągnęło go w dół. Musiał się ratować! W przeciwnym razie nie dość, że nie ocali niesfornego dzieciaka, to jeszcze zada cios własnej matce. Zadziwiające, że pomyślał akurat o niej. Nie o Marcysi, nie o Alinie, którą usiłował mu swatać przyjaciel, i nie o żadnej innej dziewczynie, ale właśnie o matuli. Bo ona jedna płakałaby po nim szczerze.

O matuchno! – jęczał w duchu, usiłując pokonać ciężar solidnie watowanego palta.

Gapiów przybywało z każdą chwilą. Kobiety, jeszcze przed momentem paplające radośnie, teraz lamentowały, że topią się i dzieciak, i jakiś śmiałek, który rzucił się w odmęty Wisły. Wzywały na pomoc Opatrzność, błagały los o miłosierdzie. Nie znalazł się jednak ani jeden chętny do skoku w lodowatą wodę. Służka, której podopieczny wypadł przez barierkę, dostała spazmów. Sama była gotowa się utopić, bo mogła być pewna, że za niedopilnowanie chłopca spotka ją sroga kara. Lepiej więc nie narażać się na nieuniknione. Już złapała dłońmi za metalową poręcz, już postawiła stopę na poprzecznej belce. Przyjaciółka z krzykiem próbowała ją powstrzymać przed desperackim krokiem. Dotąd leżące spokojnie w wózku niemowlę podniosło wrzask.

Ktoś przytomniejszy zbiegł z mostu ku łodziom zacumowanym przy brzegu, żywiłowo gestykulując i wskazując miejsce katastrofy, tłumaczył, w czym rzecz. Zdołał przekonać parę osób, bo już po chwili dwie łódki płynęły w tamtym kierunku.

Wtem wzburzyła się tafla wody, rozległ się plusk. Z Wisły wynurzył się mężczyzna, który wskoczył w ślad za Zygmuntem Łodzińskim. Zacerpnął powietrza, a następnie znowu zanurzył się w toni.

Michał jakimś cudem pozbył się ciężkiego płaszcza. Gdy złapał dech w piersi, wstąpiła w niego zadziwiająca siła. Zanurkował, wypatrując chłopczyka. Szczęście mu dopisało, zobaczył opadającego na dno malucha. Zdobył się na

nadludzki wręcz wysiłek, aby się do niego dostać. Jego ciało boleśnie kęsało zimno. Coraz trudniej było się poruszać, szybko wróciła ospałość, która dopadała go, nim zdołał wypłynąć.

Ostatkiem sił złapał dziecko za kołnierz. Tylko czy będzie w stanie wraz z takim balastem wydostać się na powierzchnię? Jak dotrze do brzegu, skoro wskoczył w sam środek koryta? Jak daleko nurt mógł ich znieść od mostu?

Boże, dodaj mi sił! – jęczał w duchu, walcząc z własną słabością.

Dzieciak mu nie pomagał. Czy jeszcze żył? Czy wysiłek podjęty przez Michała nie okaże się daremny?

Dla kobiet tkwiących wciąż na moście czas zdawał się stać w miejscu. Już wiedziały, że mężczyzna nie utonął, że wciąż próbuje ratować chłopca. W napięciu spoglądały na łodzie, z których wioślarze wychylali się teraz za burty i patrzyli z uwagą w toń. Każda sekunda wydawała się trwać przerażającą wieczność.

A potem wydarzył się prawdziwy cud.

Michał sam nie wiedział, jakim sposobem zdołał wytrzymać w lodowatej wodzie, zanurkować, znaleźć dzieciaka, a następnie wraz z nim się wynurzyć. Pamiętał ramiona rybaków, którzy wyciągali go z wody na łódkę. Ktoś litościwie opatulił go starą derką, lecz i tak nie mógł opanować dygotu oraz szczękania zębami.

Ostatnie, co zarejestrował jego umysł, to słowa:
– Oby nie przypłacił bohaterstwa życiem.
Później zapadła bezpieczna, ciepła ciemność.



3

Echo wystrzałów

Eustachy był w pobliżu powstającej winnicy, gdy usłyszał huk wystrzału. Znieruchomiał na chwilę, wsłuchując się w echo i wyczekując, czy odgłos się powtórzy. Szybko jednak otrząsnął się ze stuporu. Coś złego musiało się wydarzyć! Wątpił, żeby Alina bawiła się bronią pod jego nieobecność i niechcący wypaliła z pistoletu. Góry Pieprzowe z całą pewnością nie były terenem, na którym można byłoby polować, bo i na co? Na żmije i pająki? Kłusownicy pojawiali się w zupełnie innych miejscach. Mężczyzna instynktownie ruszył w kierunku Doliny Pustelnika, choć nie wykonał pracy, którą zlecił mu Zawisłny. Jeszcze nigdy droga do chaty nie wydawała mu się równie uciążliwa. Odnosił wrażenie, że maszeruje całe wieki. Na szczęście, a może nieszczęście, drugi strzał się nie rozległ. Gdy mężczyzna dotarł w pobliże domu, zwolnił. Musiał zachować ostrożność, na wypadek gdyby jego przypuszczenia okazały się słuszne. Uznał, że Ryży i Łopian postanowili mu złożyć wizytę. Widocznie śmierć kompana powstrzymała ich tylko na jakiś czas.

Dotarł już wystarczająco blisko, by widzieć dolinę. Pierwszą rzeczą, która mu się rzuciła w oczy, był leżący nieruchomo

kopczyk sierści, w którym rozpoznał Lunę. Zmełł w ustach przekleństwo. Już wiedział, że ofiarą strzelca padł niewinny pies. Tylko rozsądek zatrzymał go w ukryciu, bo serce nakazywało mu podbiec do ulubienicy i sprawdzić, czy żyje. Może sukę dało się uratować? Może została niegroźnie ranna?

Nie! W takim wypadku pewnie by się poruszyła, wychuwając w pobliżu swego pana. Może zaskamlałyby, może próbowałyby się do niego przyczołgać. Na pewno nie obeśzłoby się bez jakiejkolwiek reakcji.

Eustachy szybko opracowywał plan działania. Musiał się niepostrzeżenie przekraść pod budynek. Dwa nieduże okna domu wychodziły tylko na południe. Od północy była jedynie ślepa ściana, za którą pleniły się chaszczce. Wciąż sobie obiecywał, że uporządkuje otoczenie chaty, lecz brakowało mu czasu, bo w domu zawsze było dość roboty. Teraz mu to nie przeszkadzało, gdyż w zaroślach, których wciąż kurczowo trzymały się ostatnie liście, mógł się łatwo ukryć. Chciał podkraść się pod okno i zajrzeć do środka, by rozeznąć sytuację. Panicznie bał się o Alinę. Gdyby coś złego jej się stało, nie darowałby sobie tego do końca życia. Już i tak miał ogromne poczucie winy związane ze ślubem, choć pewną pociechą była myśl, że w ten sposób dziewczyna uniknęła jeszcze gorszego losu. Tylko że z jego punktu widzenia było to niczym leczenie dżumy cholerą.

Nagle rozległ się huk jeszcze jednego wystrzału.

Nie było czasu na myślenie i podchody.

Ryży zaklął szpetnie.

– Ty idioto! Po co strzelałeś do kundla? Zaraz nam się zwali na głowy Koniecikropka.

– Przecież chodzi o to, by go tu zwabić.

– Jeśli przyjdzie za szybko, pokrzyżuje nam szyki. Zresztą mówiłem ci, że najpierw trzeba przycisnąć jego ślubną. Bo jeśli ona nam zdradzi, gdzie jest skarb, to obejdzie się bez spotkania z tym typem, choć osobiście chętnie bym się z nim zmierzył. A przy okazji wyruchałbym tę dzierlatkę.

Na dalsze spory nie było czasu. Należało działać!

Alina stała jak wmurowana, gdy padł strzał, który ugodził Lunę. Strach odebrał jej zdolność logicznego rozumowania. Wiedziała, że powinna coś zrobić, najlepiej cofnąć się do chaty i zabarykadować w środku, licząc na rychłe pojawienie się Eustachego. Mąż na pewno usłyszał huk. O ile się nie myliła, tego dnia miał do wykonania pracę w pobliżu winnicy. To powinno zwabić go do domu. Miała do niego pełne zaufanie, wierzyła, że nie zostawiłby jej na pastwę losu i na pewno nie zignorowałby wystrzału. Wilkoszowie, nawet gdy polowali, to albo wyprawiali się do dość odległej Puszczy Sandomierskiej, albo znacznie bliżej strzelali do dzikich kaczek i bażantów, lecz ich ulubione tereny łowieckie położone były z dala od Pieprzówek. Rozum podpowiadał więc Alinie, że lada moment może spodziewać się pomocy w osobie ślubnego. Musi tylko jakoś przeczekać i nie dać się pojmać bandziorem, którzy zapewne zamierzają ją wykorzystać jako kartę przetargową

w jakichś niezrozumiałych porachunkach z Eustachym. Mniej więcej orientowała się, w czym rzecz, ponieważ swego czasu mąż wspomniał to i owo, nadmieniając, że jego życzeniem jest, aby zachowała wszystko dla siebie i nie mówiła nic nawet Marcysi. Siostra mogłaby nieopatrznie chlapać coś Małgorzacie, a ta wówczas gotowa dostać palpitacji ze strachu o syna, z którego powodu rozpętała się absurdalna draka.

Działał, dziewczyno! – dopingowała się w duchu. Sęk w tym, że ciało pozostawało bierne i głuche na podpowiedzi rozumu, a czas naglił. W końcu z pewnym opóźnieniem zdołała zmusić się do reakcji. Odwróciła się, by przynajmniej spróbować uciec do domu.

– Stój, jeśli ci życie miłe! – krzyknął jeden z mężczyzn.

Nie usłuchała. W kilku susach wpadła do sionki. Szczęście było blisko, na wyciągnięcie ręki. Musiała tylko zatrzasać drzwiami i założyć drewnianą zasuwę. Potem mogłaby wyjąć ze skrzyni pistolet, którego nie miała przy sobie, ponieważ w domu czuła się bezpiecznie. Gdyby oddała parę strzałów przez okno, to może zdołałaby trafić któregoś z napastników, a przynajmniej choć trochę ich nastraszyć.

Nie zdążyła. Już zamykała drzwi, gdy pomiędzy skrzydło a futrynę wsadził stopę jeden z mężczyzn. Naparł tak mocno, że bez trudu je otworzył, odpychając jednocześnie Alinę. Kobieta krzyknęła, gdy boleśnie uderzyła barkiem w ścianę sieni. Jej chwilowe oszołomienie z miejsca wykorzystał rudy zbir. Złapał Alinę za warkocz u nasady i bezceremonialnie wepchnął ją przez uchylone drzwi do izby kuchennej. W ślad za nimi wszedł drugi z napastników.

Ryży wyjął z kieszeni nóż sprężynowy i z trzaśnięciem rozłożył ostrze.

– Szanowanie pani – rzucił cynicznie. – Proszę wybaczyć niezapowiedzianą wizytę, ale mamy do męża pewną niecierpiącą zwłoki sprawę. Jak widzę, nie zastaliśmy go w domu. Ale może obejdzie się bez niego i ty nam wyśpiewasz, gdzie jest skarb pustelnika.

– Nic nie wiem o żadnym skarbie! – wykrzyknęła zaskoczona.

W rzeczy samej Eustachy nigdy nie wspominał o tym, by pustelnik zostawił mu cokolwiek prócz chaty. Nawet jeśli było coś więcej, zapewne oddał to jej ojcu. Być może stąd miał środki na to, by ją wykupić z rąk Wrotycza.

– Nie baw się ze mną w kotka i myszkę, tylko natychmiast gadaj! – ryknął, napierając na nią, aż wycofała się pod ścianę. Nie miała możliwości ucieczki, chata była maleńka, a drogę do drzwi tarasowało dwóch opryszków.

Bała się tego człowieka. Patrzył na nią wyjątkowo nienawistnie. Nigdy w życiu nie widziała równie złego wejrzenia. Ani u ojca, ani u niedoszłego narzeczonego. Stojący przed nią rudzielec wyglądał niczym kwintesencja wcielonego zła. Jego czoło przecinał marsowy grymas, a spod gniewnie ściągniętych brwi łypały drobne oczka.

I pomyśleć, że przed rokiem rzuciła mężowi w twarz pełne jadu słowa o gwałcicielu. Teraz drżała ze strachu przed prawdziwym zagrożeniem. Lada moment mogło spełnić się przemocą to, czego wówczas nie chciała zrobić dobrowolnie. Bała się, że straci nie tylko cześć, ale również życie. Jakże teraz żałowała straconego czasu! Śmierć zaglądała Alinie

w oczy, dziewczyna nie chciała umierać, zachowując w pamięci gwałt.

– Już ja się z tobą zabawię, suko – wysyczał Ryży, a następnie zwrócił się do kompana. – Patrz, czy Koniecikropka nie nadchodzi, a ja skrócę sobie czas oczekiwania na niego zabawą.

Łopian nie słuchał wymiany zdań. Jego uwagę przykuły pęki ziół wiszące pod powalą i utensylia, które niecierpliwym gestem zgarnął ze stołu Maczkow. Jakaś misa z mazią pękła w zderzeniu z deskami podłogi, rozsypały się miałko posiekane liście.

Ło... panie! Przecież ona pomaga Stefanii! – olśniło nagle Jankowskiego. Sam się zastanawiał, czemu wcześniej nie przyszło mu to do łepetyny!

Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie. Zaczęła się szarpać z Ryżym, który bez chwili zwłoki przystąpił do działania, przyciskając ją do blatu.

Łopian zmarszczył brwi. Na moment podchwycił spojrzenie tej dziewczyny. Nie powinien okazywać słabości, lecz nagle poczuł się tak, jakby dostał obuchem w łeb.

Tak samo musiała się miotać Stefusia!

Gwałtownie przełknął ślinę. Starał się pozostawać głuchym na rozpaczliwe krzyki dzierlatki, lecz wewnątrz wszystko mu się kotłowało.

Ryży już zadzierał spódnicę i próbował zerwać bieliznę z Aliny.

– Nie! Zostaw mnie! Błagam! Zostaw! Dam ci coś w zamian! Mam biżuterię!

– Zostaw ją! – Jankowski nie zdzierzył. Nie mógł pozwolić, aby powtórzyła się historia Stefusi. By została skrzywdzona

kolejna bezbronna kobieta. Przecież wystarczy im sam skarb. Nie muszą gwałcić Koniecikropkowej!

– A ty co? Żal ci dupę ściska? Też sobie zaraz pochędzisz. – Rafał parsknął, wciąż walcząc z paskiem w spodniach.

Łopian nie wytrzymał. Podeszedł do kolegi, złapał go za kołnierz i odciągnął na bok. Nie wybaczyłby sobie, gdyby ucierpiała osoba, która pomogła jego ukochanej.

– Powiedziałem, żebyś ją zostawił. Żadnych gwałtów!

– Spierdalaj! Odkąd zrobiłeś się taki łaskawy i świętoszkowaty?

– Chuj ci do tego! Nie wsadzisz jej kutasa! A jak cię świerzbi, to możesz iść po robocie do zezowatej Haliny i ją wygrzmocić.

– Stul pysk, idioto!

Byliby się może wzięli za łyby, lecz w porę jednemu i drugiemu przyszło opamiętanie.

Alina, gdy tylko uścisk Ryżego zelżał, uskoczyła w bok. Krótkotrwałe zamieszanie wykorzystwała najlepiej, jak tylko potrafiła. Dwoma susami dopadła do skrzyni, w której przechowywała swoje rzeczy. Drżącymi ze zdenerwowania dłońmi wyjęła z niej pistolet, na szczęście leżał na samym wierzchu, zawinięty jedynie w bawełnianą szmatkę. Jej ręce wciąż się trzęsły, gdy odciągnęła kurek. W tej samej chwili mężczyźni odwrócili się w jej stronę.

Nie było szansy na mierzenie ani tym bardziej na zastanawianie się nad tym, co robi. Miała tylko jedną okazję i nie mogła jej zmarnować, choć oczywiście nie liczyła na to, że jednym strzałem cokolwiek zdziała albo położy na deski któregośkolwiek z napastników.

Rzucili się w jej kierunku obydwaj jednocześnie. Poczuli, jak czyjeś palce zaciskają się z całych sił na jej nadgarstku. Któryś z mężczyzn usiłował wydrzeć jej pistolet. Zwarli się w szamotaninie.

Strzeliła na oślep.

Huk wystrzału oszołomił ich wszystkich.

Na moment zapadła cisza dzwoniąca nieprzyjemnie w uszach. Czas stanął w miejscu.

Michał czuł przenikliwe zimno. Wstrząsały nim dreszcze, na dodatek coś nim telepało w nieprzyjemny sposób. Z wysiłkiem podniósł ciężkie powieki. W pierwszej chwili obraz przed oczami był niewyraźny, lecz gdy mężczyzna wystrzył wzrok, zobaczył dach dorożki, którą zapewne jechał. Pojazd podskakiwał na nierównościach bruku, potęgując negatywne doznania.

– Dzięki Bogu, ocknął się pan! – usłyszał wdzięczny kobiecy głos.

Pochylał się nad nim ciemnowłosy anioł o najbardziej brązowych oczach, jakie zdarzyło mu się zobaczyć. Twarz zdawała mu się dziwnie znajoma, lecz w zamroczeniu nie potrafił przypisać do niej ani imienia, ani miejsca, w którym wcześniej mógł ją ujrzeć.

– Przebóg! Pomyślałbym, że jest w niebie – powiedział ledwo dosłyszalnie. – Ale anioły chyba nie podróżują dorożkami, a przemieszczają się z pomocą skrzydeł.

– Pamięta pan, co się stało? – zagadnęła młoda kobieta, na której kolanach, jak zdążył domyślić się Michał, spoczywała jego głowa.